Przeczytaj koniecznie i bądź mądra wcześniej

**Ewa (lat 59)**: **Chowałam głowę w piasek**

- W mojej rodzinie nie było raka. Pierwsze zaproszenie na badanie mammograficzne zwyczajnie zlekceważyłam, na kolejne nawet się umówiłam, ale „coś mi wypadło” i nie poszłam. - Nie należę do grupy ryzyka – usprawiedliwiałam się sama przed sobą. Aż przyszedł ten dzień, kiedy „coś” mi zaczęło przeszkadzać w lewej piersi. Pewnie tłuszczak, w końcu większość guzków to nie jest rak – uspakajałam się. Poza tym wydawało mi się, że „to” nie rośnie. Chowałam głowę w piasek przez dwa lata. Kiedy jednak guzek zaczął krwawić i pobolewać, wiedziałam, że nie jest dobrze. Diagnoza lekarza była jednoznaczna: to jest zaawansowany rak. Mastektomia, chemioterapia, naświetlania. Wygrałam tę walkę, a przynajmniej mam taką nadzieję, ale dziś wiem, że zaczęłam ją zbyt późno i zbyt duże straty poniosłam. A mogło być zupełnie inaczej…

**Magda (lat 36) : Myślałam, że jestem za młoda na raka**

- Cytologię robiłam dość regularnie, co 2 lata. I zawsze miałam wyniki bardzo dobre, pierwszą grupę. Kiedy z mężem zaczęliśmy myśleć o dziecku, tak na wszelki wypadek zrobiłam sobie dość szczegółowe badania, powtórzyłam też cytologię, którą robiłam raptem pół roku wcześniej. I szok – grupa trzecia, duża dysplazja. To jeszcze nie rak, ale coś jest nie tak. Leczenie zachowawcze (a nóż to tylko stan zapalny) nie przyniosło poprawy. A więc kolposkopia, biopsja i wynik: komórki świadczące o istnieniu raka przedinwazyjnego. A przecież miałam wówczas zaledwie 30 lat! Byłam za młoda na raka! Na szczęście na tym etapie jest on w 100 procentach uleczalny. Dziś mam zdrową córeczkę, ale czasem przechodzą mnie ciarki po plecach: a co by było, gdybym tak nie pilnowała tej cytologii…

**Grażyna (52 lata) : Nie miałam czasu na badania**

- Do ginekologa chodziłam dość regularnie mniej więcej do czasu menopauzy. Potem jakoś nie widziałam potrzeby. Sama badałam sobie piersi i uważałam, że to wystarczy. Poza tym … nie miałam czasu: nadal byłam aktywna zawodowo, zostawałam po godzinach, pracowałam w weekendy, a w nielicznych wolnych chwilach pomagałam w opiece nad wnukami. Aż pewnego dnia moja sąsiadka zwróciła się z nietypową prośbą: chciałaby zrobić mammografię, ale po operacji ma problemy z chodzeniem i czy mogłabym ją zaprowadzić. Pojechałyśmy. Nie wiem jak to się stało, ale nie zdążyłam wyjaśnić, że jestem tylko osobą towarzyszącą, a pani w mammobusie, poprosiła o dowód, wypełniła dokumenty i wysłała na badanie. Wynik był szokiem: jest zmiana, konieczna dalsza diagnostyka. I kolejna diagnoza: złośliwy guz wielkości 5 milimetrów. Na szczęście tylko 5 milimetrów i bez przerzutów. I tak dzięki sąsiadce ocaliłam nie tylko życie, ale i pierś – mam tylko niewielką bliznę.